

Wielkie zmiany w małym mieście. Dobre i złe spotkania z nowoczesnością w *Promieniu* Stefana Żeromskiego

Karolina Chył

Uniwersytet Wrocławski

ORCID: 0000-0002-1053-1433

Small Town, Great Changes – *Promień* [The Ray] by Stefan Żeromski and Multidimensional Modernity

Abstract: This article analyses complex and ambiguous aspects of modernisation, depicted by Stefan Żeromski in his intriguing but rather obscure novel *Promień* [The Ray] (1898). The writer chooses a provincial town for his scenery – although based on Kielce, it is hidden with a fictional name – which experiences an industrial revolution in miniature. A railroad built in the area, old, solid shops and enterprises brought to death by the modern way of trade and a shockingly radical local newspaper ran by the novel's protagonists are just a few most striking symptoms of that inevitable and unsettling process of change.

Keywords: Stefan Żeromski, *Promień* [The Ray], modernity, turn of the 19th and 20th century

Słowa kluczowe: Stefan Żeromski, *Promień*, nowoczesność, przełom XIX i XX w.

Promień to tekst niewielki, raczej szkic powieściowy lub minipowieść niż złożona, rozległa epicka całość. To książka zagadkowa i zapoznana. Przed laty Henryk Markiewicz dostrzegł w niej Żeromskiego brulion pisarski, swoistą wprawkę pióra przed stworzeniem pierwszej dużej powieści, obszernych, dwutomowych *Ludzi bezdomnych*. Jest to stwierdzenie nie bez podstaw, zarazem jednak skazuje ono *Promień* na podrzędność, minimalizuje jego znaczenie, każąc go czytać tylko jako „etiudę przygotowawczą”¹. Tymczasem *Promień*, jak postaram się dowieść w poniższym szkicu, jest i sam przez się godny naszej uwagi. Z rzadka jedynie przykuwając spojrzenia „żeromskologów”, nadal pozostaje światem zamkniętym i w moim przekonaniu kryjącym w sobie niepoślednie zagadki i cenne treści. Do takich właśnie frapujących aspektów niedocenionej prozy autora *Cieni* zaliczyć można sprawę funda-

¹ H. Markiewicz, „Ludzie bezdomni” Stefana Żeromskiego, Warszawa 1975, s. 14.

mentalną dla tego tekstu, ważną i trudną kwestię nowoczesności. *Promień* nazywa jej bolączki i szanse, wyzwania i pułapki, ukazuje je w akcji, ruchu, działaniu, a co ciekawe, czyni to nie w przestrzeni wielkiego miasta kuszącego blaskiem cywilizacji, ale w ciasnym okręgu prowincjonalnym, gdzie są one może jeszcze jaskrawsze, bardziej uderzające i wyraziste. Jak bowiem pisze Maria Jolanta Olszewska, autorowi *Siłaczki* właściwy jest „nowoczesny sposób myślenia o świecie, który pokazywany jest zawsze z uwzględnieniem perspektywy antropologicznej. Był [Żeromski – dopisek K.C.] zdolny zdiagnozować kryzys, którego źródłem jest destrukcja systemów aksjologicznych i metafizyki, co prowadzi do utraty stabilnej podstawy ontologicznej i ma swe skutki poznawcze oraz społeczne”². W cytowanym powyżej zdaniu Olszewskiej świat Żeromskiego zdaje się nade wszystko tknięty anomią, pełny kakofonii aksjologicznej. Ja staram się wydobyć ambiwalencję, wielorakość pojęcia *modernitas* oglądanego przez pryzmat niepowtarzalnej wrażliwości pisarskiej twórcy *Popiołów*. Zgodnie z proponowaną tutaj optyką, nowoczesność tekstów Żeromskiego to ta sama zwodnicza, olśniewająca, burzycielska, a przecież twórcza potęga, którą tak sugestywnie i poetycko ukazał Marshall Berman w swej znanej pracy³. To właśnie jego książka pozostaje w toku tego wywodu punktem odniesienia i inspiracją.

Artyści nowocześni, a wśród nich bez wątpienia autor *Przedwiośnia*, zawsze są skłonni dostrzec „piękno w ulotnej codzienności, a ta nieustannie się przeobraża. Toteż tworzone przez nich obrazy przybierają kształty związane z chwilą i z nagłością jej zaniku, i jako takie współtworzą nowoczesną mitologię”⁴ – podkreśla słusznie Ireneusz Gielata. Że w *Promieniu* kruchość i niestabilność objęły wszystko, co do niedawna było mocne i pewne, widzimy już za sprawą protagonisty. To Jan Raduski, trzydziestokilkuletni działacz-społecznik, postać o przeszłości dość tajemniczej, w której jedynym bodaj wyraźnym punktem jest dom dzieciństwa, dwór dzierżawiony przez rodziców w Niemrawem, mały górski folwarczek w pobliżu Łżawca – to ten ostatni, wzorowany na Kielcach „gród gubernialny”, będzie miejscem akcji samej powieści. Czując głęboki związek z ziemią i ludźmi, z którymi przeżył swoje niezapomniane chłopięce lata, Raduski nie ma już prawa do tego miejsca, śmierć rodziców oddała je w cudze ręce. Wykorzeniony post-ziemiański rozbitek – posiadaczem nie był zresztą nigdy, przecież wychował się w nie swoim majątku, pokochał nienależącą do niego ziemię – oparcia może szukać jedynie w sobie. Jest człowiekiem wędrownym i gdy po latach przybywa znowu do Łżawca, gdzie ukończył gimnazjum, nie ma w tych stronach już nikogo bliskiego.

Promień rozpoczyna się od pociągu, od szeregu dziejących się w nim wypadków. Ten właśnie pociąg wiezie Raduskiego ku jego stronom, na

² M.J. Olszewska, *Stefan Żeromski. Spotkania*, Warszawa 2015, s. 11.

³ M. Berman, *Wszystko, co stałe, rozplywa się w powietrzu. Rzecz o doświadczeniu nowoczesności*, przeł. M. Szuster, wstęp A. Bielik-Robson, Kraków 2006.

⁴ I. Gielata, *Bolesław Prus. Na progu nowoczesności*, Bielsko-Biała 2011, s. 124.

spotkanie z miejscami ukochanymi, które zarazem mają stać się miejscami odmienionymi, i to, ma się rozumieć, przez jego pracę, jego niewyczerpaną wolę działania. Raduski w gruncie rzeczy już z góry wie, że nie pogodzi się z tym, co tam zastanie, że będzie chciał ów zastygły, miniony świat intensywnie przekształcać i przeinaczać. Niecodzienne uczucie, jak na człowieka, który po latach skrajnej niestabilności, życia jakby na ruchomych piaskach, wraca w jedyne miejsce, które dotychczas było dla niego źródłem pięknego ład, żywym rezerwuarem wewnętrznej mocy. Nostalgia, zdawałoby się z natury wroga wszelkim gruntownym zmianom, u bohatera *Promienia* świetnie się godzi z niespokojnym pragnieniem wciąż nowych wyzwań, z postawą analityczną, poszukującą, nakierowaną na twórcze przeobrażenie tego, co znane. Oba te uczucia, a właściwie obie te namiętności, równie instynktowne i dojmujące, kształtują postępowanie Raduskiego, a ich zaskakujący poniekąd mariaż stanowi także znakomity punkt wyjścia rozważań o pozycji i sensie nowoczesności jako jednej z kluczowych idei książki.

Pan Jan rusza w tę podróż, będącą w dużej mierze poszukiwaniem utraconego czasu, pełen radości i głęboko wzruszony. Prawdopodobnie spodziewa się zetknąć z ludźmi, którzy – by użyć wyrażenia Bermana – nie zostali jeszcze napiętnowani „nowoczesnym pocałunkiem śmierci”⁵. Tymczasem nieuchronnie wychodzi na jaw, że takich już właściwie spotkać nie można. Dowodem tego sama jazda koleją. Za czasów dzieciństwa Raduskiego nie było jeszcze w tamtych stronach pociągów. Oto znak przyjscia nowych, odmiennych czasów, przetwarzających miejsca i obyczaje – te ostatnie, rzecz jasna, o wiele wolniej i z niemalym oporem ich „nosicieli”. Przedział w pociągu skupia owe przemiany niby soczewka⁶. Zwróćmy tutaj uwagę na oczywisty, ale niezmiernie ważki aspekt podróży; otóż ludzie jadący w jednym przedziale są zmuszeni dzielić go z osobami, których sami zapewne by nie wskazali jako pożądanego współtowarzyszy. W *Promieniu* jazda odbywa się trzecią klasą, jednak i tu dochodzi, nomen omen, do starć klasowych, a także etnicznych, o czym za chwilę, na wspólnych ławkach siadają ramię w ramię pasażerki i pasażerowie nader odmienni. Jak pisała Wanda Reichsteinowa w swym poradniku dla pań z dobrych domów

⁵ M. Berman, dz. cyt., s. 34.

⁶ Jest sprawą jasną, że pociąg oraz wszystko, co się z nim wiąże, gra ważką rolę w polskiej literaturze drugiej połowy wieku XIX. Nie miejsce tu, by próbować nakreślić barwny krajobraz owego kolejnictwa literackiego, zwłaszcza że powieść, o której w tym tekście mowa, jest utworem całkiem zapoznanym, a więc jej przede wszystkim, nie zaś rozlicznym literackim kontekstom, zresztą w Niemaliej mierze już omówionym, będzie się należała nasza uwaga. Więcej na tematy kolejowe pisali w ostatnich czasach m.in. W. Forajter (*Piekielny pociąg Władysława Stanisława Reymonta*, w: tegoż, *Pragnąć. Szkice o literaturze nowoczesnej*, Katowice 2017) czy T. Kaliściak (*Pociąg seksualny. Prus – Freud – Grabiński*, w: tegoż, *Pleć pantofla. Odmienne męskości w polskiej prozie XIX i XX wieku*, Katowice 2016). O pociągach u samego Żeromskiego piszę w tekście *Judymowa w krainie nowoczesności. Rzecz o zapomnianej bohaterce „Ludzi bezdomnych”* (przyjęty do publikacji w monografii *Kobieta w literaturze, sztuce i muzyce*).

(ukazał się on na rynku siedem lat przed powieścią autora *Zmierzchu*), jadąc pociągiem, „nie można nigdy być pewnym, w jakim się znajdujemy towarzystwie. Każdemu bowiem wolno jeździć tym samym, co my, wagonem”⁷. Wnętrze przedziału to społeczność mieszana, niejednorodna, zmontowana *ad hoc*, a właściwie sklecona z przygodnych osób, zmuszonych jednak cierpieć siebie nawzajem przez dłuższy czas, by podróż okazała się chociaż znośna. Pierwszy rozdział powieści ukazuje jednak na każdym kroku, że tworzenia, lepienia, fabrykowania tej ulotnej wspólnoty trzeba się uczyć, że jest to umiejętność tyleż niezbędna każdemu człowiekowi nowoczesnemu, co niełatwa w codziennym zastosowaniu. Przedział kolejowy, ta ciasna, duszna, mało wygodna przestrzeń, winien przecież odznaczać się głównie tym, że w jego wnętrzu, na czas trwania podróży, zbratani *volens volens* pasażerowie zawieszają niejako swe hołubione troskliwie przyzwyczajenia, animozje, nałogi. Wszak jest to przestrzeń, w której mieszczą się ludzie miejscy i wsiowi, dzieci i starcy, palący i niepalący (zwłaszcza to ostatnie dziś budzi grozę). Kilka prostych zasad, które zapewnią pokojowe współżycie, to w takiej sytuacji rzecz wręcz niezbędna, by wewnętrzne napięcia nie rozsądziły nieszczęsnego przedziału. Wśród pasażerów z *Promienia* te zasady jeszcze nie powstały, kolej bowiem w tym świecie wciąż jest nowością. Główny bohater ma wyraźnie za sobą liczne podróże, nie wiemy, jakie, lecz z pewnością dalekie, we wnętrzu kolei jest autochtonem; wiedząc zaś to, czego tamci nie wiedzą, rozwiązania wyrosłe z zachodniej gleby przeflancowuje na grunt prowincjonalny. Nakłania więc palacza, który w przedziale sąsiaduje z dwójką małych dziewczynek, by na chwilę powstrzymał się od cygara, a starszym paniom, które ku swej rozpaczycy nie zdołały w porę kupić biletów, jadą więc nielegalnie w strachu przed karą, cichcem podsuwa ratunkowe pieniądze. Wszystko to jednak są wysiłki cywilizatorskie człowieka z zewnątrz, które łzawiecka publiczność ma prawo witać z nieprzychylnym dystansem, gdyż są nowinką. Że zaś owa nowinka rymuje się z ikoną nowoczesności, jaką jest uwożący ich wszystkich pociąg⁸, to zapewne odkryją sami po czasie, już poza kadrem powieściowej kamery. Szarogęszący się w wagonie Raduski to wprawdzie krajan wracający po długiej nieobecności, nikt go jednak tutaj nie rozpoznaje, a i jemu niespieszno, by się ujawnić. Pozostaje więc obcym reformatorem, nieproszonym znawcą i poprawiaczem wagonowych stosunków. Trzeba zresztą podkreślić, że nie wszystkie działania naruszające podstawową ludzką solidarność wywołują w nim równie gorący opór. Pozostaje niejasne, czemu Raduski interweniuje w sprawie palacza i dziewczynek, a nie interweniuje, kiedy jadący wymyślają brutalnie, po czym grożą żydowskiemu chłopcu:

⁷ W. Reichsteinowa, *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących, ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891, s. 21.

⁸ Odwołuję się tutaj do tytułu pracy W. Tomasika *Ikona nowoczesności. Kolej w literaturze polskiej*, Toruń 2015.

– Idź stąd, Żydzie starozakonny, bo, mówię ci, z kwikiem wieprzowym wylecisz. A do żydowskiego wagonu, śmierdzieliu!
– Mnie i tu wolno, ja mam „bulet”!
– Choćbyś i miał „bulet”, to ja ci perswaduję jak tkliwa matka rodzonemu dziecięciu, nie siedź koło mnie, skoro cię stąd wypycham, bo w przeciwnym razie będę zmuszony tak ci dać w oko, że cię wprost z tej ławki w białej trumience wyniosą na „kirkut”...⁹

Zadziwiająca scena. Nie sposób stwierdzić, czy to ze strony pisarza przejaw ironii wobec łżawieckiego reformatora: jakim prawem ten poprawiacz świata milczy jak ryba, kiedy obok dzieją się takie rzeczy? A jeśli tak, jeśli to rzeczywiście wyraz szyderstwa, to w imię czego sympatyczny bohater miałby tu zostać bezlitośnie wydrwiony? Być może scena ta ma nam uzmysłowić, że i jego empatia nie jest zgoła wszechogarniająca, że to „rycerz ze skazą”, który nie pragnie wesprzeć wszystkich cierpiących, lecz wybiera ich podług pewnego klucza, jest więc zmasany grzechem obojętności na dziejącą się jawnie, tuż obok, krzywdę. Oto jeden z sekretów minipowieści. Jak się wkrótce okaże, będzie ich więcej, pisarz bowiem nie kwapi się tu bynajmniej podsuwać czytelnikom i czytelniczkom prostych explikacji własnego dzieła. Nie brak więc w tekście zakamarków, zaułków i ciemnych przejść, niemal jak w samym Łżawcu, który już wkrótce zwiedzał będzie Raduski, niefortunny „podróżnik sentymentalny”.

Owa jazda pociągiem ma to do siebie, że ciągle coś nowego przykuwa oczy, nie tyle za oknami, chociaż na opis migających pejzaży także jest miejsce, ile w samym wagonie, gdzie coraz nowe słowo czy wydarzenie bawi i dziwi, gniewa, budzi ciekawość. Spójrzmy, ile się dzieje w tych pierwszych scenach, ile tajonych napięć znajduje ujście, ile się tu rozgrywa spotkań i starć, ile przykrych kolizji postaw i wzorców, różnych modeli życia, różnych etosów, oczekiwań i pragnień. Ktoś nieproszony raczy współpasażerów głośnym opowiadaniem leciwych anegdot, kto inny wciąga towarzyszy wyprawy w przygodny hazard, oszukując bezczelnie, choć na wesoło. Znajdzie się również miejsce na sporą scenkę, pełną pysznej werwy obyczajowej, ale i innych nadspodziewanie ważkich ukrytych treści. Warto tutaj przytoczyć większy wyimek, oto dwie nowe podróże w progę wagonu:

Skoro tylko dźwigająca tobolek stanęła przy drzwiach, zaczęła mówić nie wiadomo do kogo w sposób uroczysty, jak w chwili przesłuchania na sądzie:

– Jechalimy – wołała, głośno ciapiąc długimi wargami – z panią Pisarkiewiczową do dom i bzdurzyliśmy se gadu-gadu... Aż tu stacja. Pani Pisarkiewiczowa powiada: Palenisko. A boś pani najpierwsza powiedziała!... No, jak Palenisko – my za toboły i szast z kolei na ziemię. My do miasta, niby na Palenisko, a tu nie ma. Stoi jakisi cudaczny budynek, przy nim obora, a dalej las jak sadze. Jezu! zawołałam ja pierwsza, cóż toto jest takiego? Stanęliśmy, patrzemy się, a tu kolejka pychu-pychu, pychu-pychu... poszła! Wczoraj się to zdarzyło, przed północiem. Święta Domicelo, powiedzieliśmy z panią Pisarkiewiczową, a to my, widać, nie

⁹ S. Żeromski, *Pisma zebrane*, red. Z. Goliński, kontynuacja red. Z. J. Adamezyk, t. 7: *Promień*, oprac. W. Wasilewska, Warszawa 1985, s. 10–11. Dalsze cytaty podaję za tym wydaniem, opatrując je w tekście skrótem P.

w Palenisku wysiedli... Dwa kuferki, jeden mężusiów, drugi pani Pisarkiewiczowej, na bagaż nam „zdać” kazali w Sapach. Cóż tu będzie teraz, ludzie kochające?...

– A cóż ma być, trza się było pilnować – mruknął ktoś z kąta – mąż pogrzebaczem plecy wyłoi, to i po bólu.

Pani Pisarkiewiczowa strzeliła okiem w tamtym kierunku, a staruszcze mówiącej przez ten czas długa warga ruszała się mechanicznie i szybko, jak sprężyna silnie przyciśnięta, a później wolno puszczała.

– My do naczelnika – zaczęła, skoro tylko nastreczył się czas przemawiania – opowiadamy, jak, co, pytamy się, upraszamy – nic. Ręce rozłożył – do jutra, mówi, panie zaczekacie, do południa, a dopiero, mówi, bilety na nic, a rzeczom, mówi, nic złego się nie stanie. Rzeczom nic złego się nie stanie, a tam mężuś miał czekać z kobyłką uproszoną od Zielińskiego, bo do „nasz”, niby do kuźni, dziewięć, ano tak: albo ośm, albo dziewięć „wiorst”... Zdębialiśmy z panią Pisarkiewiczową. Tu fonduszu mamy na kupie niecałą czterdziestówkę, a tu, mówi, bilet nowy kup – i jeszcze weź i nocuj! Zafrasowaliśmy się...

– Ale mężuś pogrzebaczem wypierze, to nie ma o czym gadać. Sprawa skończona...

Starowina przerwała opowiadanie i zawstydziła się. Błade rumieńczyki ubarwiły jej zmarszczone jagody. Wkrótce jednak przyszła do siebie i pytowała dalej, wszelako cichszym głosem i zwracając się do najbliższych sąsiadów:

– Kupiliśmy na noc u bufeciarzów dwa kubki herbaty i po bułce, po kajzerce. Te bułki my wdrobili do herbaty i była wieczera, a zapłaciło się za toto ośmnaście groszy. Spać nam kazal „potier” na sali między chłopiskami. Tak my ta leżeli na drewnianych ławach z tobołami pod głową. Stękania było więcej jak czego. Teraz my do wagonu, ale co ta może być z tego, to już nic nie wiem. Chyba że wyrzucą... My bez biletów jedziemy! – krzyknęła raptem z tak rozpaczliwą determinacją, jak gdyby wyznawała publicznie, że jest morderczynią. (P 16–17)

Dwie sąsiadki jadące do Paleniska, która to nazwa sama przecież odsyła do świata pary, tłoków, węgla i szyn, zdają się pełnić w *Promieniu* niewielką wprawdzie, ale znaczącą rolę. Bezimienna, za to wyposażona w głos towarzysząca milczącej pani Pisarkiewiczowej w sposób całkowicie naturalny zabiera się do zrelacjonowania swojej wyprawy przypadkowym słuchaczom. Jest to opowieść nie tylko o terrorze czasu zegarowego (trzeba pilnować godzin, a nawet minut, raz przeoczona okazja więcej nie wróci, kto w odpowiedniej chwili nie zdąży wsiąść, musi przystać na długie oczekiwanie, ciągnący się w nieskończoność jałowy okres przesiedziany na stacji). Jest to także opowieść o skromnej próbie udomowienia, przybliżenia ku sobie świata przemysłowej. Dworzec, „cudaczny” budynek stojący pod lasem, musi, żeby coś znaczył, miał jakąś treść, zostać obłaskawiony i oswojony. Do tego celu służą nieznaczące gesty przywołujące przestrzeń własnego domu (posilek, sen); bez nich dworzec i jego otoczenie są światem pustym. Jest to świat-dziwowski, świat postrzegany jako obcy i wrogi, a co ciekawsze, również w swoisty sposób irracjonalny; kobiety mają nocować wraz z mężczyznami, których nigdy wcześniej nie widziały, żywność jest droga, nic się z niczym nie zgadza, wszystko zdumiewa. Zagubione podróźne nie mogą pojąć, dlaczego naczelnik stacji nic nie uczyni dla ulżenia ich doli, skoro go proszą – przecież jest naczelnikiem, więc niewątpliwie ma w zasięgu ręki kompetencje, z których z niejasnych przyczyn nie chce skorzystać, ujawniając, że jest coś potężniejszego, czemu on sam, choć naczelnik, podlega. Cudaczność i kapryśność świata kolei zaburza rytm naturalny, „prawdziwy” rytm wyniesiony z domu,

z obejścia, ze wsi. Gdzieś w Palenisku stoi w tej chwili bryczka zaprzężona w pożyczoną klacz, a mężczyźni-kowal czeka na niej na darmo na przyjazd żony, co nie ma sensu, ponieważ robota w kuźni na tym ucierpi. Na dobitkę również sama opowieść nie zostaje przyjęta w sposób właściwy. Jej narratorka jest całkowicie przekonana, że obecni będą reagowali zaciekawieniem, udzielą rad, a niektórzy – pomocy, jak niewątpliwie byłoby w Palenisku i okolicach. Tymczasem reakcje podróżnych wahają się od zniecierpliwienia do ironii; nikt nie ma głowy, by słuchać rozwlekłego opowiadania, pasażerowie usiłują je przerwać i unieważnić. Sama opowiadająca wreszcie odczuwa, że jej donośne, niepowściągliwe wynurzenia są odbierane jako zbędne i śmieszne i reaguje w sposób głęboko ludzki – jest zawstydzona, spłoszona, rumieni się. Jednak owa potrzeba, by opowiedzieć o inwazji dziwności, jakiej doznała, jest silniejsza od wstydu, kowalowa mówi zatem dalej, godząc się tylko na niewielkie ustępstwo: zamiast głośić wszem wobec swoje nieszczęścia jak obwoływacz z bębniem na rynku miasta, opowiada ciszej i tylko tym, którzy zasiedli w jej najbliższym sąsiedztwie.

Warto, jak sądzę, dostrzec w tej scenie więcej niż malowniczy rodzajowy epizod poszerzający ekspozycję powieści. Obnaża ona bowiem ostre napięcie, jakie powstaje na styku kultury tradycyjnej, z jej wizją świata, czasu, ludzkich relacji, z szeregiem przemian, jakie do tego systemu reguł i norm wniosła nowoczesność jazdy koleją, presja terminów, krąg metalu i szkła. Cały *Promień* jest taką właśnie kroniką opornego wrastania ludzi dotychczas ożywionych duchem tradycyjnym w dziwny i tajemniczy świat nowoczesny, o którym ci na razie wiedzą niewiele, uczą się go na błędach swoich i cudzych, czasem komicznych, czasem irytujących, bywa, że gorzkich, a niekiedy fatalnych.

Przybywając do Łławca, Raduski stwierdzi, że wbrew oczekiwaniom człowieka z zewnątrz, kolej nie jest tutaj utożsamiana z blaskiem postępu, perspektywą rozwoju i nowych dróg. Oto starzy kupcy, patriarchowie, których sklepy były instytucjami, z jakimi miasto kojarzyło się zawsze wiejskim przybyszom („Byłem tylim knotem – mówi Raduski – kiedy u pana kupowało się chleb świętojański, cukier lodowaty i lukrecję w patykach” – P 40), właśnie kolei przypisują ruinę swoich przedsiębiorstw. Ruina ta dotknęła między innymi pana Hipolita Żołopowicza, adresata powyższych słów Raduskiego. Ten ze sklepu „stoczył się” na pozycję, którą sam gardzi, przeświadczony, że gardzą nią również inni: na pozycję portiera hotelowego. Żołopowicz z uporem przedstawia siebie jako ofiarę bezmyślnego pochodu nowoczesności pojmowanej jako ruina dawnych, nie idealnych może, lecz oswojonych, zrozumiałych stosunków. Losy kolegów-kupców widzi w tych samych kategoriach, co własne, rzemieślników i kupców. Oto zaczęto sprowadzać koleją do Łławca tandetny towar, jakiego tutaj nigdy wcześniej nie było, a dawne firmy, solidnych, renomowanych krawców czy szewców, zmiotła z powierzchni ziemi ta nieuczciwa, lecz błyskotliwa konkurencja. O takim oto beznadziejnym upadku cenionej firmy Żołopowicz powiada:

Jak Wincenty Krupecki zrobił grube buty nieprzemakalne, to *aus!* Ten myśliwy mógł se dzień stać w bagnie po kolana i skarpetkę miał suchą. [...] Teraz cóż się stało? [...] Pod kościołem, na zebranych chlebie. [...] A na tej samej Drzewińskiej ulicy tera sklep przy sklepie! Trzewiczki jak ułał, kamaszeczki jak się patrzy. Tanie, śliczne. A że się we dwa tygodnie rozłożą, to cóż na to poradzić? Życie przemysłowe (P 41).

W miarę opowiadania staje się jasne, że jednak z Żołopowiczem, kupcem korzennym, było zgoła inaczej. On sam, oprócz kolei, oskarża o swój upadek zarówno tych, którzy powołali do życia spółkę akcyjną zawiadującą dużym, wielobranżowym sklepem ziemiańskim, jak i kupców Żydów, chociaż dostrzega, że sklep akcyjny to właśnie inicjatywa w nich wymierzona, założono go przecież, jak mówi, po to, by chłopów „moški nie oszukiwały na kosach, na okuciu do woza i tak dalej” (P 44). Takie sklepy akcyjne, których udziałowcami byli ziemianie żądni „wydarcia handlu z żydowskich rąk”, w czasach *Promienia* powstawały dość licznie. Sam Żeromski w *Dziennikach* pisze o jednym. Za czasów gubernierki w zamożnym dworze w Oleśnicy został namówiony przez towarzystwo, okolicznych właścicieli ziemskich, którzy coś mglistego już usłyszeli o kielkujących literackich ambicjach pana Stefana, by napisał dziennikarską wzmiankę o takiej właśnie handlowej inicjatywie i tym samym nagłośnił ideę sklepu. Żeromski skreślił wprawdzie ową notatkę¹⁰, nie zdoławszy się oprzeć nagabywaniom, nie podpisał jej jednak swoim nazwiskiem i czuł się, jak mówił, podle, stworzywszy tekst, z którego przesłaniem się nie zgadzał¹¹. Notatka bowiem została zredagowana w tonie pochwalnym i niepozabawionym entuzjazmu, gdy tymczasem jej twórca był wówczas pełen furii wywoływanej marnym, bezpłodnym, salonowym klimatem szlacheckich gniazd, w których przebywał jako korepetytor, cudzoziemszczyzną i wstecznictwem tych ludzi.

Wróćmy jednak do meritum sprawy; sklep łzawiecki powstał z inicjatywy inżyniera Baumana, który zjawił się w mieście przy budowie linii kolejowej – do kolei zatem powraca wszystko jak do „pierwszej przyczyny” (P 40). Ani jednak kolej, ani też spółka nie okaże się tym, co spowodowało bankructwo Żołopowicza. Sedno historii kupca wygląda bowiem, wedle jego relacji, jak następuje:

Córki zjechały z pensjów i dawaj mi kołki na łbie ciesać: a mieszkanie, a meble, a fortepiany, a konie, a jakieś ta malowane obrazy. [...] Brałem z banku i brałem, a te nic, tylko bał za balem, do Warszawy, do Krynicy. Upodobały sobie świeże powietrze i musiałem wille stawiać. [...] ogłupiałem na śmierć: powóz-em trzymał, foszmana w kapeluszu [...]. Przecie ja, panie, utrzymankę miałem tutaj, we Łzawcu. Moda taka była między nami, pierwszym kupiectwem, żeby każdy... (P 43–44)

¹⁰ Zob. S. Żeromski, *Spod Stopnicy*, w: tegoż, *Pisma zebrane...*, t. 25, *Publicystyka 1889–1918*, oprac. Z. J. Adamczyk, Warszawa–Kielce 2016; pierwodruk: „Gazeta Kielecka” 1889, nr 29. Jak komentuje Zdzisław Jerzy Adamczyk, artykuł ten „jest jednym z bardzo nielicznych napisanych przez Żeromskiego w niezgodzie z przekonaniami” (tamże, s. 7).

¹¹ Zob. S. Żeromski, *Dzienniki*, oprac. i przedmową opatrzył J. Kądziela, t. 6, Warszawa 1966, s. 116, 124–125, 145–146.

Wspominając te czasy, pan Żołopowicz przede wszystkim się wstydzi, ba, skręca się po prostu z zażenowania. Z czego jednak właściwie ten wstyd wypływa? Jak się zdaje, nie chodzi bynajmniej o to, że podjął szereg lekkomyślnych decyzji, których zgubne skutki dostrzega dzisiaj i poniewczasie załamuje ręce nad własnym brakiem handlowego rozumu. Wstyd i upokorzenie biorą się stąd, że w owych latach krótkiej a intensywnej *prosperity* pan Hipolit dał się ponieść pragnieniu, łatwowiernie zaufał nowoczesności w jej wcieleniu magicznym i luksusowym. Otoczony powabami dóbr, które, jak uznał, może nareszcie osiąść, choć do tej pory nigdy o nich nie marzył, były bowiem, jak wiedział, poza zasięgiem, zapomniał o mieszczkańskich cnotach umiaru, oszczędności i wiecznej troski o jutro. Rzucił się bez pamięci w wir używania, oczywiście na miarę swych wyobrażeń i skromnych przecież miasteczkowych zasobów, które tylko dla jego olśnionych oczu przedstawiały bezdenny ocean ponęt. Rozkiełznane pragnienia z tego okresu dzisiaj wydają mu się głupie i grzeszne, a na dodatek – cudze, nieautentyczne, sądzi, że zaraziły go nimi córki i to je przede wszystkim obarcza winą za obecny upadek. Córki, a także inni kupcy, koledzy, których przykład jakoby pchnął go do tego, by utrzymać ponętą kochankę, w jego mniemaniu zainfekowali Żołopowicza niszczyielskim bakcyłem konsumpcjonizmu. Owładnięty gorączką zbytκώνnych potrzeb, opętany żądzą użycia świata, czuje przez krótki czas, że sprawiając sobie wytworne meble, wysyłając córki do wód na lato i rozbijając się po mieście powozem (furman w liberii!), powetuje sobie wreszcie, po latach, wyrzeczenia i krzywdy. Mieszkający w nim dotąd potulny chłopiec, który „od dziesiątego roku żywota przywykł brać w łeb kuflem z ręki gościa” (P 43), może się teraz wyżyć wśród wystawności należącej do świata tych właśnie panów, z których ręki niegdyś odbierał ciosy, a potem, jako kupiec we własnym sklepie, sumiennie ważył dla nich pieprz i goździki. A jednak wielka feta kończy się fiaskiem. Żołopowicz okazał się bezradny w obliczu tego, co wtargnęło do Łżawca na jego oczach, zagarniając łapczywie miasto i ludzi. Choć dla nas pozostaje zupełnie jasne, że tym „czymś” burzącym i wywrotowym jest dziewiętnastowieczna *modernitas* z całym kompleksem przynależnych jej postaw i akcesoriów, sam pan Hipolit łączy własny upadek z jedną jedyną demoniczną instancją, tą zaś jest kolej.

Żeromski opisuje czas wielkiej smuty, która zapada nad miastem po krótkiej fazie pierwszego zachłyśnięcia wszystkim, co nowe. Miodowy miesiąc szybko dobiega końca, a po nim następuje rozczarowanie i skrajna dezorientacja tych, którzy pozostali na pustym placu i desperacko usiłują zrozumieć, co tu się stało, w co zostali wciągnięci, kto był reżyserem tego spektaklu i do kogo powinni żywić pretensję, wszyscy bowiem czują się oszukani, a powrotu do tego, co znali, nie ma. Wszystko to zdaje się przystawać w pełni do słów Bermana, który, przy całej wyczuwalnej ufności, a wręcz sympatii, jaką darzy procesy modernizacji, jasno wskazuje, jak są one kosztowne i że niezmiernie rzadko, lub zgoła nigdy, można tutaj mówić

o bezbolesnym nakładaniu na siebie dawnych i obecnych form istnienia. To, czego czas się skończył, powiada Berman, musi zazwyczaj upaść dosłownie w gruzy. Dopiero na owych zgłiszczach wyrasta nowe, najczęściej diametralnie odmienne życie. Ten właśnie proces dostrzegamy w *Promieniu*, tyle że rozchwiany, niedokończony i wstrzymany w rozpędzie.

Nowoczesność łzawiecka jest osobliwa, zarazem przerośnięta i karłowata. W jej obliczu miasto jak gdyby pęka: z jednej strony zmuszone do zbyt nagłego, „przesadnego” rozwoju i nadażania za wielkimi centrami cywilizacji, z drugiej – wciąż pozbawione elementarnych nawet oznak komfortu, pełne brudnych, odrapanych domów, tonące w błocie, mające zbyt mało latarni, dosłownie mroczne, zanurzone w ciemności i przyziemności:

Zewsząd leciały i płynęły strugi nie tyle wody, ile brudnej cieczy. Tam rynna, przed laty pęknięta, darzyła obfitą wilgocią ścianę przylegającą, i brzydka plama, z odcieniem zielonkawym, niby głębokie rozrżnięcie gnoła się na froncie starego domu. Gdzie indziej spod urwanego tynku wyzierał znaczny plac rdzawych cegieł, jak żebra i wnętrzności awanturnika, uszkodzone w nocnej bijatyce. (P 23)

Tyle że to, co dawne, a wręcz odwieczne, także jest różnorakie, niejednolite. Są starocie, starzyzna, wszelkie przeżytki, które trzeba wyplenić, bo hamują pochod udogodnień, to właśnie owe pełne kałuż zaułki wygryzione przez wilgoć, obskurne domy, wyboiste chodniki itp. Lecz obok nich są jeszcze rzeczy prastare, stanowiące ponadto swoiste bramy do odmiennych wymiarów. To nasączone bogatymi treściami miejsca pamięci zawierające materialnie dostępną wiedzę o życiu, po którym inne ślady nie pozostały, dokumenty istnienia zgasłych pokoleń, których świadomość, uczucia, sposób myślenia, niepojętą wrażliwość odzwierciedlają, zaświadczając po wiekach o ich istnieniu. Takim właśnie żywym talizmanem jest w swej kamiennej a pozornej martwocie łzawiecki kościół, trzynastowieczna, pełna powagi katedra, wzorowana na kieleckiej bazylice Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Oto, jak piękne i niezwykle olśnienie przydarza się za jej sprawą protagoniście, gdy ten, jadąc przez miasto, patrzy z dorożki na majestatyczną sylwetę baszty:

Raduski nie mógł oderwać wzroku i duszy od tego budynku. Myślał o mularzach, którzy nosili i stawiali jedne na drugich owe szare kamienie przed tyłoma wiekami. Myślał o długotrwałym ich trudzie, o wysiłkach rąk, nóg, grzbietów; w prędkim zachwyceniu widział zmordowane twarze, potem krwawym ociekające, wejrzenia ich omdlałe pod ciężarem kamienia i naczyń rzadkiego wapna, słyszał stękanie, ciche westchnienia zamknięte w pierśsiach, zdołał nawet wmyśleć się w wiarę ich prostą, ledwie otłuczoną jak tamte kamienie, a tak surowo mocną jak one. Dla wiecznego Boga dźwigiły bryły na tył wysokości, dla Niego złożyli nędzę swego bytu, krzywdę położenia, mękę ciała i ducha. Toteż w tych bulwach spał zakłęty talizman potu i łez owej trzody roboczej dawnego świata... (P 22).

Łatwo uznać, że pokost modernizacji pokrywający stare mury łzawieckie jest bardzo cienki i przy lada dotknięciu gotowy opaść, by obnażyć szpetotę i nagość cegieł. Co właściwie jednak przesądza o tym, że domowe miasto Raduskiego w gruncie rzeczy tak niewiele ma związku z autentyczną, „głęboką” nowoczesnością, choć do niej aspiruje i cierpi przez to, co jest jej

nieporadnym, partykularnym, małomiejskim wcieleniem? Chciałoby się powiedzieć, że dowodzi tego jak na dłoni choćby istnienie owianego złą sławą przedmieścia Łzawca, Kamionek czy Kamionki, bo nawet nazwy nie ma raz na zawsze ustalonej ta przestrzeń groźna, a zarazem posępna i zaniedbana. Tyle że owe slumsy (samo to słowo oczywiście w *Promieniu* jest nieobecne) wskazują na niechlubne powinowactwo łączące Łzawiec z najpierwszymi obcymi metropoliami, nie bez powodu narrator widzi w Kamionce „maleńki White-Chapell” (P 27).

O nienowoczesności miasta Łzawca nie przesądza także ciężki los okrutnie przepracowanej, źle opłacanej i traktowanej ze zwyczajową wzdargą służby domowej. Jest przecież tak, że cała olśniewająca cywilizacja wieku XIX, wszystko, co wprowadzają w życie liczni uczeni, przyrodnicy, artyści, inżynierowie, filozofowie i inni twórcy kultury, wspiera się na barkach tych bezimiennych pracownic i pracowników, ludzi z zaplecza, ludzi niedostrzegalnych i niesłyszalnych, którzy, mozolnie porządkując codzienność, umożliwiali innym twórczą abstrakcję. Tyle tylko, że w domach bardziej zamożnych te obowiązki należały do kilku co najmniej osób, i to osób wykwalifikowanych, których płaca, godziny zatrudnienia i wreszcie prestiż, choć stanowczo niewystarczające, były jednak o sto mil odległe od warunków pracy zwykłej służącej, tak zwanej dziewczyny do wszystkiego, w publicystyce tamtego czasu rozpoznawanej jako „biała Murzynka”. To właśnie taką służącą, przemęczoną, chudą nastolatkę, której ciało nosi na sobie ślady wyniszczającej, długoletniej harówki, obserwuje Raduski w łzawiecką noc, zaczajony u okna, za którym mieszka bezimienna dziewczyna. Jest to okno kuchenne, bo służąca i kuchnia stanowią jedność, w kuchni spędza ona cały dzień, pracuje, przyjmuje gości, sypia, choruje, myje się i ubiera i tutaj trzyma cały skromny dobytek, bez kłopotu mieszczący się w jednej skrzynce wsuniętej pod wąskie łóżko.

W ujęciu Żeromskiego nadmierna znojna praca w roli służącej nie tylko okalecza kobiece ciało (jest wyraźnie widoczne, że nastolatka podpatrywana nocą przez Raduskiego fizycznie nie rozwija się prawidłowo, wychudzona, żyłasta, budową ciała przypomina mężczyznę), lecz hamuje także rozrost wewnętrzny. Brak czasu na jakąkolwiek troskę o siebie, na to, by objąć spojrzeniem szerszy widnokrąg, wyjaławia, zubaża myśl i uczucie. Dla Raduskiego służąca nie jest osobą, ale istotą („Kaliban z *Burzy* Szekspira” – P 29), zdeformowaną przez męczarnię roboty, przez wzdargę lub obojętność swych chlebodawców, przez brak nadziei na zwycięską ucieczkę z błędnego koła¹². Nie samo więc istnienie służby domowej jest miarą łzawieckiego pozostawania w tyle cywilizacji, ale warunki, w jakich ta służba mieszka, i to, co trzeba nazwać stosunkiem pracy, mimo że w owych czasach

¹² Odtwarzając pokrótce dzieje służących, korzystam z prac: J. Kuciel-Frydryszak, *Służące do wszystkiego*, Warszawa 2018; A. Urbanik-Kopeć, *Instrukcja nadużycia. Służące w XIX-wiecznych polskich domach*, Katowice 2019.

nikt by po takie wyrażenie nie sięgnął. Służąca, ma się rozumieć, właśnie służyła, nie zaś po prostu pracowała, dlatego też można było wymagać od niej dwudziestoczworgodzinnej wręcz aktywności, bycia na każdy rozkaz wszystkich domowych i uległego, cierpliwego znoszenia każdej prywacji. Otóż z tym wszystkim poczyna Raduski walczyć. Medium tej walki będzie założone przez niego pismo, „Echo Łzawieckie”, plasujące się w kontrze wobec starej (i znów ta obosieczność pojęcia „starość”, w tym akurat wypadku skojarzonego z zapleśniałym wstecznictwem), patriarchalnej i oportunistycznej prasy miejscowej, której jedyną i powszechnie uznaną przedstawicielką jest „Gazeta Łzawiecka”. Organ to dziwny, zaprzątnięty wielką polityką, roztrząsający sprawy najodleglejsze, a niepoświęcający żadnej uwagi ani życiu miasta, ani guberni, chyba że idzie o brukowe płoteczki, które niekiedy z satysfakcją powtarza. Inaczej „Echo...” – ono ma w zamierzeniu pomysłodawców stać się gazetą autentycznie lokalną, uprawiającą tę „głęboką lokalność” w sposób świadomy i dzięki temu zdolną paradoksalnie łączyć górską prowincję ze światem szerszym. Duch i litera „Echa...” mają charakter zgoła nie radykalny, nasz bohater wie, że w zawieszistej, duszno-konserwatywnej atmosferze miasta gubernialnego, z lekka jedynie, i to w sposób dosyć problematyczny, odświeżonej powiewem jakiejś nowości za sprawą wyżej omawianej kolei, nie można sobie pozwolić na ostry ton, mało kto bowiem jest od razu gotowy, by przelknąć nazbyt gorzką pigułkę reform. Toteż „Echo...” pracuje nad reformami w tonie uprzejmym, zaprawionym dowcipem, nienapastliwie. Jest jednak liberalne i postępowe, by sięgnąć po lubiane w epoce słowa, a to wystarczy, żeby rozgrzać i wzburzyć łzawiecki światek. Właśnie owa kampania na rzecz służących szczególnie epatuje tutejszych mieszczan, łączy się bowiem z sugestiami daleko idących reform w wychowaniu panien z towarzystwa; mogą one w „Echu...” przeczytać rady, „żeby w chwilach wolnych od marzeń i walców myły podłogi i przynajmniej z lekka szorowały schody (srodze brudne w mieście Łzawcu), jak to czynią nawet bardzo zamożne i utalentowane Niemkinie oraz Szwajcarki” (P 134). Mycie schodów wszakże jest trywialne; mało komu w Łzawcu mieści się w głowie, że jest to druga, nieodłączna od pierwszej, niejako lewa strona nowoczesności, tej samej, w którą z tak wyraźną rozkoszą się zanurzyli, gdy oznaczała luksus nowych towarów. Prawda bowiem jest taka, że łzawieccy *bourgeois* pragną kuszące ciastko zjeść i zatrzymać: bez ograniczeń cieszyć się otwarciem na świat zewnętrzny, którym wabią współczesny handel i kolej, a równocześnie nie wyjść ani na krok z raz na zawsze przypisanych sobie wzorców i ról, a nade wszystko nie opuścić modelu tradycyjnej rodziny zakorzenionej w mentalności szlacheckiej, w której kobiety nie tylko pracować nie muszą, ale robić tego wręcz nie powinny.

A przecież *Promień* to nie tylko opowieść o kolei, bankrutujących kupcach i niekończącej się harówce nędzarzy. Ma też inne oblicza i nie o wszystkich będzie mowa w tym tekście, w którym zamierzam przedstawić jeden jedyny, choć niezwykle bogaty i barwny wątek gęstej powieściowej

rzeczywistości. Nie będę więc na przykład omawiać sprawy, która, jak zwykle u autora *Zamieci*, jest tu wyraźnie, choć swoiście obecna, sprawy miłości – *Promień* to także romans. Pragnęłabym natomiast zwrócić uwagę na pewien symptomatyczny znak wrażliwości *par excellence* nowoczesnej, jakim jest ów szczególnie, rozkwitający w XIX stuleciu i do dzisiaj nam towarzyszący sposób postrzegania tego, co dzikie, w swej grozie nieuchronne i niepojęte. Mowa tu, oczywiście, o sprawie śmierci.

Do tego tematu podszedł Żeromski w sposób fascynujący, niezwykle własny, a równocześnie zdolny ukazać to, co tak bardzo typowe dla ducha czasu. Człowiekiem skonfrontowanym z zagadką śmierci uczynił bowiem przyrodnika, lekarza, jednego z tych, których tak ukochała mijająca epoka pozytywizmu. Życie nowoczesne, definiowane przez ciągły pochód różnorodnych usprawnień, obfitość bodźców, zmieniające się mody, złożoność i nieustanną obecność maszyn, to ciągły punkt odniesienia dla tej epoki. Oto wymowny fragment kroniki Prusa, rozkochanego, choć niebezskrytycznego obserwatora zwycięskiego pochodzenia nowoczesności, z 23 października 1898 r., roku książkowej publikacji *Promienia*:

Dzięki przemysłowi i ściśle połączonej z nim technice człowiek dzisiejszy tak wysoko wznosił się ponad naturę jak nigdy: ani za wojen krzyżowych, ani za napoleońskich, ani za czasów Kolumba. Dość przypomnieć lokomotywy, statki parowe, żniwiarki, warsztaty tkackie, maszyny do szycia i do pisania, telefon, który przenosi o kilkadziesiąt mil mowę ludzką, i fonograf, który ją na kilkadziesiąt lat utrwała... Kolumb i Napoleon nie tylko nie marzyli o podobnie cudownych przyrządach, ale nawet niejednego z nich nie mogliby zrozumieć.

A na czymże polega duchowa wartość człowieka, jeżeli w pierwszej linii nie na opanowaniu natury, nie na wzniesieniu się nad poziom egzystencji roślinnej i zwierzęcej?¹³

Tyle że w owym trwałym i świetnym gmachu istnieje wyłom, o którego naturze pięknie i trafnie mówi Philippe Ariès w swojej klasycznej pracy *Człowiek i śmierć*:

Od najdawniejszych czasów człowiek nie przyjmował seksu ani śmierci jako dzikich darów natury. Konieczność organizowania pracy, zapewnienia ładu i moralności – warunki spokojnego zbiorowego życia – skłaniały społeczeństwo do zabezpieczenia się przed gwałtownymi i niespodziewanymi atakami natury: na zewnątrz były to nieobliczalne pory roku i nagłe wypadki, od wewnątrz – świat ludzkich głębi, upodobniający się w swojej brutalności i nieobliczalności do natury, świat namiętnych majaków i dramatów śmierci. [...] Śmierć i seks były najsłabszymi punktami murów obronnych, ponieważ kultura stanowiła tam przedłużenie natury, nie ujawniając braku ciągłości¹⁴.

Nowoczesna postawa nacechowana dzikim strachem przed śmiercią bierze się stąd, że człowiek przez wieki całe pracowicie tworzył potężny mur oddzielający go od życia przyrody, nadawał otoczeniu ład i harmonię, obce i przeciwstawne siłom żywiołu. Istniały w murze tylko dwa słabe punkty, którymi wygnana natura mogła z powrotem wdrzeć się w ludzką ekumenę, wnosząc w nią dzikość, nieprzewidywalność i tajemnicę. Eros i Thanatos

¹³ B. Prus, *Kroniki*, oprac. Z. Szwejkowski, t. 15, Warszawa 1965, s. 405.

¹⁴ P. Ariès, *Człowiek i śmierć*, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 2011, s. 600–601.

– obie te moce stale wyciszano, temperowano, obudowując kordonem sanitarnym norm i zakazów, blokując i poskramiając ich bezustanną naturalną ekspansję, lecz, co istotne, aż do późnego średniowiecza nie łączono ich z sobą i nie mieszano. Egzystowały osobno, wręcz przeciwstawne, jako dwie niezależne strefy zagrożeń. W gruncie rzeczy dopiero okres baroku z jego makabrycznym imaginariem zjednoczył oba kręgi i stworzył kompleks, erotyczno-tanatologiczną syntezę lęku. Kiedy myśl oświecenia, pierwsza w całej historii myśl nowoczesna, pociągnęła za sobą nieokiełznany i bezprecedensowy rozwój techniki, wyszło na jaw, że człowiek coraz to więcej może i znaczy w obliczu nieujarzmionej dotąd natury, że coraz więcej jest w stanie w jej sferze działać, coraz bardziej znacząco ją przeobrażać. I wówczas to osłabła pradawna baczność, z jaką ubezpieczano i umacniano dwa najsłabsze ogniwa fortyfikacji. Człowiek, oszołomiony cudowną mocą parowego silnika, zaprzątnięty regulacją rzek, wyosabnianiem z tłumu i nazywaniem zagadkowych mikroobów, które chciał zwalczać, przebijaniem tuneli przez górskie pasma – słowem: czynieniem sobie ziemi poddaną, zapomniał o ochronie tamtych dwóch szańców. Wówczas miłość i śmierć, przez stulecia kielznane tak uporczywie, wdarły się z nową siłą w *orbis interior*, by nieść tam chaos, spustoszenie i grozę. Tym efektywniej, że teraz działały inaczej niż w dawnych wiekach, bo wspólnie, nałożone jedna na drugą, splecione czy przemieszane do niepoznaki, a ten stan rzeczy nie uległ już większym zmianom do naszych czasów¹⁵. Pozostawiając miłość na marginesie tych szkicowych rozważań, wróćmy do śmierci. W jaki sposób w *Promieniu* zostaje rozegrane to jej wtargnięcie w duszny i bezpieczny łzawiecki świat?

Przypadkowy spacer po miejskim parku stawia na drodze Raduskiego kobietę, jak zwykle u Żeromskiego – niezwykle piękną. Ich przygodna znajomość ewoluuje w stronę wzajemnego zaciekawienia i pani Marta zachęca swego towarzysza przechadzki, by ją odwiedził. Ten skwapliwie chwytając pierwszą okazję i tego samego dnia przychodzi z wizytą. W mieszkaniu zastaje nieład, a gospodyni wydaje się nieswoja i zamyślona. Wkrótce rzecz się wyjaśnia: mąż pani Marty, doktor Zygmunt Poziemski, jest od kilku tygodni obłożnie chory. Choroba to budząca strach i odrazę, nieuleczalna, wyniszczająca nosacizna. Raduski, który rozpoznaje w Poziemskim znajo-

¹⁵ Również Anna Zdanowicz zestawia śmierć w *Promieniu* z myślą Ariësa (zob. tejsze, *Metafizyka i życie społeczne. Stefan Żeromski wobec problemów współczesności*, Warszawa 2005, s. 105). Nie zaznacza jednak, że Raduski, choć w swym wykorzenieniu i chęci zmiany, ironii i potrzebie analizy jest wręcz modelowym przedstawicielem nowoczesnego typu człowieka myśli, usiłuje przekroczyć ograniczenia, jakie przyniosło nowoczesne zamknięcie na sprawę śmierci. Można co prawda dodać, iż Raduskiemu łatwo jest zachowywać ową postawę filozoficznego zaciekawienia, gdyż to nie on umiera na nosaciznę. Protagonisty śmierć nie dotyczy osobiście, to Poziemski staje z nią twarzą w twarz. Dla niego zaś jest ona czymś pozaludzkim w całkowicie Ariësofskim sensie, fenomenem czysto biologicznym – i ta jej pustka, ta jej całkowita asemantyczność rani i obraża pozytywistę, który dotychczas nie poświęcał jej nigdy innej uwagi niż uwaga lekarza, teraz zaś widzi, że jego dotychczasowy osąd i wiedza nie potrafią przynieść mu pociechy i wzmocnić przed spotkaniem z nieuniknionym.

mego jeszcze z czasów studenckich, nie jest w stanie powstrzymać odruchu zgrozy, oglądając straszliwe zmiany na ciele, któremu wkrótce już pisany jest zgon, a które pacjent, nadal dysponujący nienaruszoną świadomością lekarza, traktuje beznamiętnie jak martwy model, objaśniając gościowi przebieg choroby. Do czasu jednak. Nagle, w środku „wykładu”, chwyta go ból. Wtedy Poziemski rozpaczliwym wołaniem przyzywa żonę. Już wcześniej, mimo obecności obcego, zwracał się do niej w sposób jawnie grubiański. Teraz, w ataku cierpienia, woła na przykład: „Marta! boli, boli! Psiakrew jedna, boli, suko ty... boli, boli!...” (P 85). Jeśli w pełni zdamy sobie sprawę, że wciąż jesteśmy w XIX stuleciu, w którym działają najsurowsze reguły nakazujące wyszukaną uprzejmość w stosunkach z ludźmi¹⁶, nie wyłączając również członków rodziny, owe „psiakrew” i „suko” muszą nas uderzyć znacznie silniej niż najbardziej piętrowe, najwymyślniejsze obelgi prozy współczesnej. Poziemski wie, że nie ma dlań ratunku; ale owa flegma człowieka wiedzy, z jaką wydaje się przyjmować chorobę, to wąty pozor, niezdolny zamaskować dzikiego bólu i jeżącego włosy na głowie strachu. Strachu przed bólem właśnie, ale też wielkiej trwogi związanej z faktem, że własny los, tak raptownie złamany, własna biografia, tak okrutnie zmiażdżona przez nierozumną, ale jak gdyby mściwą potęgę śmierci, postrzega doktor Zygmunt jako zjawisko pozbawione wszelkiego wytłumaczenia. Gorzkie, mozolne, bezsensowne cierpienie, odrażające cechy samej choroby, której koszmaru nie łagodzi najczulsza nawet opieka, pamięć o przyjaciółach, którzy zniknęli, opuścili w nieszczęściu, i o pacjentach, którzy w zamian za pomoc niosą doktorom śmiertcioną zarazę – wszystko to wydaje się Poziemskiemu jakąś bezmyślną, wołającą o pomstę do nieba krzywdą. Tyle że niebo, owo niebo lekarza-pozytywisty, nie przyjmuje wołania, jest puste, martwe, niedarzące nadzieją.

Nad wyraz problematycznym źródłem nadziei okazuje się również, o dziwo, sztuka. Oto Raduski usiłuje znaleźć dla Poziemskiego jakąś rozrywkę: niech to będzie cokolwiek, byle zdołało choć na chwilę oderwać umysł lekarza od lęku, bólu i postępów choroby. Pierwsza myśl podpowiada, żeby mu czytać. Toteż pan Jan zwraca się do doktora z tą propozycją:

- Może powieść jaką, wesolą? Klub Pickwicka?
- Wesolą powieść? Nie! Daj mi pan święty spokój! Zapomnę się na trzy, cztery minuty, a gdy przyjdzie wracać do siebie... Daj mi pan pokój!
- Może historię, opis jakiej wyprawy?
- Co mnie to wszystko!... A zresztą czytaj pan... Masz tu ze sobą?
- Nie, właśnie myślałem, że trzeba by poszukać takiej ciekawej książki. Ja teraz wyjdę na miasto i wrócę za godzinkę. Dobrze? (P 89)

¹⁶ Dla pewności dodajmy kluczowy truizm: z ludźmi równymi mówiącemu pozycją lub stojącymi odeń socjalnie wyżej. Nawet jeśli uwzględnimy fakt, że sztywne normy rodem z poradników *savoir-vivre*’u nie musiały być ściśle respektowane w życiu codziennym, język, jakim przemawia doktor Poziemski, i tak trzeba uznać za szokujący. Słowa lekarza ukazują wyraźnie, w jaki sposób ból, choroba i śmierć burzą nienaruszalny z pozorów kodeks.

Rozpoczyna się zatem poszukiwanie. Ale na jaką książkę się zdecydować? Pytanie brzmi nie tyle: która jest dobra, ile raczej: która jest najmniej zła, której treść nie będzie odbijała w sposób rażący, nieznośnie ironiczny lub wprost okrutny od grozy położenia, w jakim tkwi chory? Wiemy już: *Klub Pickwicka* to nie odpowiedź. Ma to być bowiem książka, która nie będzie próbowała pocieszać przez zapomnienie, która nie będzie omijała tematu, nie spróbuje udać, że go nie ma, ale przeciwnie: odniesie się do niego w sposób świadomy, otwarcie i rzeczowo, a równocześnie w sposób prawdziwie ludzki wejdzie z nim w interakcję i sprostą mu. Raduski nie ma pojęcia, gdzie taką znajdzie, na chybił trafił wchodzi więc do księgarni, eleganckiej i modnej. Lecz właśnie jej szykowność i nowoczesność speszą go i odepchną niemal od progu. Jest w tym przeczucie, że nie trzeba przerzucać owych nowalii ciągle jeszcze pachnących farbą drukarską, ale sięgnąć raczej do książek starych, obrosłych kurzem, wręcz przeżartych dawnością. Znowu wkracza na scenę dialektyka pojęć nowe i stare. Znow, jak w wypadku marzeń obudzonych w Raduskim przez wielką basztę, przypisane im będą inne wektory niż to się zwykle dzieje w tekście powieści, a przynajmniej chwilowo tak się wydaje. Pan Jan odwraca się od półek księgarskich, gdzie natrętnie piętrzy się świeży towar. Staje w drzwiach odwiecznego antykwariatu¹⁷. Dzięki książkom starego bibliofila-kolekcjonera o dziwnej aparycji i dość przykrego (jest jak szczur biblioteczny raczej niż człowiek), a którego imienia nie poznajemy, przeciwstawionych gładkim, banalnym tomom zgromadzonym w księgarni Saula Glockego, znow staje się uchwytne dotykalna obecność minionych czasów:

– Polska oprawa – rzekł antykwariusz, biorąc książkę z rąk pana Jana. – Bardzo ciekawa, bardzo ciekawa... Czy pan uważasz – rzekł nagle ze szczególnym uśmiechem – co się w tym druku mieści, jaki to jest dokument? Kto ją tu przywiózł, kto czytał [...].

Albo ta – zawołał z nowym blaskiem w oczach – *Historia Bohemiae*, z wielkim, koślawym, czerwonym tytułem. Pisał ją biskup Dubraw z Ołomuńca. Ulegała pełnemu paleniu na stosie. Ten egzemplarz pochodzi ze Szwecji. Widzisz pan, przypisy szwedzkie!... Kto też i kiedy unosił ze sobą tyle książczysko, jaka miłość kryła je pod płaszczem i niosła za morze? (P 94)

Po długim przetrząsaniu i ślęczeniu nad skarbami druku zgromadzonymi przez „starego móla biblioteki” (P 92) Raduski zabiera wreszcie... żywoty świętych. Antykwariusz odstąpi mu je darmo, zaklinając gderliwie, żeby cennego woluminu nie zniszczył. Niełatwo orzec, skąd ten irracjonalny (z pozoru?) wybór. Wszak już na wstępie pan Jan wyjaśnił księgarzowi, że nie chce piśmiennictwa religijnego, gdyż lektura ma być przeznaczona

¹⁷ Artur Hutnikiewicz nazwał tę scenę „kompozycyjnie zbędną, bo nie wnoszącą do akcji żadnych istotnych momentów” (A. Hutnikiewicz, *Żeromski i naturalizm*, Toruń 1956, s. 174). W istocie jednak łączą ją z resztą tekstu znaczące więzi, nie fabularnej, lecz myślowej natury: to w tej scenie właśnie po raz kolejny pojawia się tytułowy motyw promienia, symbolu twórczej myśli rozjaśniającej chaos i ciemność świata. Bez wizyty u antykwariusza nie byłoby też przejmującej do głębi sceny czytania choremu pozytywiście żywotów świętych, sceny dysonansowej, obnażającej całkowitą bezradność człowieka wiedzy w obliczu tego, co się wymyka porządkowi rozumu.

dla „człowieka, który życie strawił na badaniu przyrody, na chwytaniu jej sekretów” (tamże). Nic takiego jednak nie znajduje, hagiografię bierze raczej przypadkiem i, być może wierząc zabobonnie w jego paradoksalną nieprzypadkowość, tę właśnie książkę decyduje się kupić¹⁸. Próba lektury okazuje się jednak okrutną klęską. Raduski z dziwnym naciskiem i wręcz uporem czyta choremu, mimo że tamten protestuje zawzięcie („Nudne to jest! [...] Nudne jest, nudne... Co mnie to może obchodzić? – P 99), opis spotkania dwóch świętych pustelników, Antoniego i Pawła, z których drugi umiera, pierwszy zaś jest pełnym zdumienia świadkiem cudownych okoliczności owego zgonu. Reakcja słuchającego przeraża wszystkich:

Gdy Raduski czytał ostatnie wiersze, rzucił okiem na twarz chorego i wnet cisnął książkę. Poziemski o własnej sile dźwignął czaszkę, straszną, przypominającą głowę kondora, z mokrymi włosami, które oblepiły ciemną, szeroko roztworzył powieki i z nieznośną badawczością patrzył na linie druku.

– Któż toto pisał? – zapytał ostrym głosem.

– Święty Hieronim.

– Hieronim?

– Tak.

– Przecie to autorytet?

Raduski uśmiechnął się mimo woli.

– Tak... autorytet... – rzekł cicho.

[...] Nagle doktor wziął chrypieć i lkać. Łzy płynęły po jego twarzy wielkimi kroplami, spadały na jasek i wnet rozlewały się w duże, ciemne plamy.

– Oto – mówił wśród szlochów i stękań – po tylu latach dążenia do prawdy, po przebyciu morza trudu lekarskiego przyszło mi na to, że jedyną ucieczką mojego umysłu stanowią takie brednie, takie banialuki... Oto... Trup zastygły trzymał ręce ku niebu, duszę jego aniołowie odnieśli, a lwy mu grób wykopały „przychlebując się ogonami”...

Głęboki smutek przejął serca obecnych, ale wszyscy troje siedzieli nieruchomo, czując doskonale, że są tylko bezsilnymi widzami, którzy nic a nic w tych sprawach nie tylko zdziałać, mówić, ale nawet sądzić nie mogą...

– Co ja pocznę, co ja pocznę, gdzie ja się obrócę, co ja będę robił! – zakrzyknął nieszczęsny, zrywając się z łóżka i targając rękami bielizną na sobie.

[...] – Po co ja, głupi, przyniosłem tę książkę i po co ja to czytałem?... – rozważał Raduski, brnąc myślami w jakiś zaułek swej własnej duszy, skąd nie było wyjścia i na poprzek którego stała tylko czarna głębia otwartej mogiły. (P 100–101)

Wydawać by się mogło, że autor *Róży* wykorzysta w *Promieniu* świetną okazję, by przedstawić człowieka niewierzącego, któremu moc i piękno zawarte w sztuce, i to – ma się rozumieć – w sztuce laickiej, ułatwią pogodzenie z nieuniknionym. Nic podobnego jednak. W miejsce otuchy dostajemy enigmę. Gorzki to obraz, a narrator nie zechce nam go złagodzić ani jednym słowem komentarza, pozostawi nas samych z jego zagadką, tak dręczącą i ciemną. Bo cóż właściwie ukazuje ta scena? Już po raz drugi formułuję w tym szkicu takie pytanie, zaświadczone w pełni niejednoznaczność i często niekonkluzywność tekstu *Promienia*, który, jak zresztą cała twór-

¹⁸ Zdanowicz sugeruje przekonująco, że w tym wypadku mogła zadecydować wpisana w żywoty świętych kusząca wizja celowości i harmonii świata, tak ludzkiego, jak i pozaludzkiego (zob. tejsze, dz. cyt., s. 105).

czegoś pisarza, stoi po stronie pytań właśnie, od odpowiedzi natomiast się dystansuje. Czy zatem byłby ten obraz świadectwem fundamentalnej niewiary twórcy w możliwość zdziałania czegoś w obliczu śmierci za pomocą języka i wyobraźni? Czy wszystko zgoda, co ma do zaoferowania literatura, byłoby tutaj równie marne i płonne jak owa średniowieczna baśniowość cudu, w którym umysł współczesny widzi jedynie grubo ciosany absurd, nonsensowną, zbędną opowiadkę? A może jest w tym apel o inną sztukę, przeświadczenie, że dawna się wyczerpała, że ta, która jest teraz, też nie wystarczy (stąd pustka, jaką wieje owa szykowna i dobrze zaopatrzona miejska księgarnia), ale ta przyszła, nowa i nowoczesna, wciąż jest nadzieją, może (i pewnie zdoła) czegoś dokonać?

Tak oto zmienne, różnorodne oblicza ukazują kwestia nowoczesności w niepokążnej, a mądrej i wieloznaczej, zapomnianej powieści autora *Róży*. Komizm i dramatyzm, dziwność, codzienność, sprawy ostateczne i przypadkowe łączą się tu kunsztownie i tajemniczo, ukazując człowieka w ciągłym pościgu za coraz bogatszymi, coraz innymi, coraz pełniejszymi formami życia. Życia, ma się rozumieć, nowoczesnego.

Bibliografia

- Ariès P., *Człowiek i śmierć*, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 2011.
- Berman M., *Wszystko, co stałe, rozplywa się w powietrzu. Rzecz o doświadczeniu nowoczesności*, przeł. M. Szuster, wstęp A. Bielik-Robson, Kraków 2006.
- Forajter W., *Piekielny pociąg Władysława Stanisława Reymonta*, w: tegoż, *Pragnąć. Szkice o literaturze nowoczesnej*, Katowice 2017.
- Gielata I., *Bolesław Prus. Na progu nowoczesności*, Bielsko-Biała 2011.
- Hutnikiewicz A., *Żeromski i naturalizm*, Toruń 1956.
- Kaliściak T., *Pociąg seksualny. Prus – Freud – Grabiński*, w: tegoż, *Pleć pantofla. Odmienne męskości w polskiej prozie XIX i XX wieku*, Katowice 2016.
- Kuciel-Frydryszak J., *Służące do wszystkiego*, Warszawa 2018.
- Markiewicz H., „*Ludzie bezdomni*” Stefana Żeromskiego, Warszawa 1975, s. 14.
- Olszewska M. J., *Stefan Żeromski. Spotkania*, Warszawa 2015.
- Prus B., *Kroniki*, oprac. Z. Szwejkowski, t. 15, Warszawa 1965.
- Reichsteinowa W., *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących, ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891.
- Tomasik W., *Ikona nowoczesności. Kolej w literaturze polskiej*, Toruń 2015.
- Urbanik-Kopeć A., *Instrukcja nadużycia. Służące w XIX-wiecznych polskich domach*, Katowice 2019.
- Zdanowicz A., *Metafizyka i życie społeczne. Stefan Żeromski wobec problemów współczesności*, Warszawa 2005.
- Żeromski S., *Dzienniki*, oprac. i przedmową opatrzył J. Kądziela, t. 6, Warszawa 1966.
- Żeromski S., *Pisma zebrane*, red. Z. Goliński, kontynuacja red. Z. J. Adamczyk, t. 7: *Promień*, oprac. W. Wasilewska, Warszawa 1985.
- Żeromski S., *Spod Stopnicy*, w: tegoż, *Pisma zebrane...*, t. 25: *Publicystyka 1889–1918*, oprac. Z. J. Adamczyk, Warszawa–Kielce 2016.